



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### PAULINA KRAKOWOWA.

(Dokończenie).

Wyjść młodej dziewczynie w świat, między ludzi obcych, i być przytem sierotą, która w pracy musi szukać sobie chleba, zarobku: to już przejście bardzo ciężkie, położenie bardzo trudne; a cóż dopiero, gdy się spotka z naturami surowemi, z przesądem, który upokarza istotę szlachetną, z wymaganiami, którym niepodobna wydołać? Takim przecież było pierwsze doświadczenie życia młodej Pauliny. Trafiła źle przy pierwszym kroku zawodowej swej pracy; trafiła źle raz, i drugi — niegościnnemi były dla niej ogniska rodzin, wśród których i dla których chciała pracować, i smutną szkołę życia rozpoczęła ta młodość samotna. Ale na szczęście serce jest tu niewypowiedzianie dobrem, niewypowiedzianie słodkiem i łagodnym; przejścia coraz okrutniejsze będą je próbować przez cały ciąg istnienia na ziemi, a ono jednak nie zatrjuje się nigdy żółcią, którą mu sączą. Przecież w owej chwili smutnego wstępu do życia młoda sierota miała szczęśliwie swoją gwiazdkę pociechy i pomocy; przyjaźń zawarta w dzieciństwie pozostała jej wierną, dom rodziców Anieli K. to zawsze jakgdy-



Paulina Krakowowa.

by jej dom rodzicielski, i tam się chroni, ilekroć wąża łódeczka jej losu musi zawrócić do brzegu po smutnej próbie żeglugi niefortunnnej. Nakoniec Paulina znajduje sobie w Warszawie takie miejsce nauczycielki, że pozostaje na niem lat cztery, to jest do 1837 r. — do zamążpójścia. Wyszła za Ludwika Krakowa z miłości najszczerzej, najtkliwszej, lecz i tu małżeństwo poprzedził dramat. Dom, w którym pozostawała, miał wpływy i stosunki szerokie; młoda nauczycielka użyła ich na uratowanie młodzieńca nieznanego wtedy sobie, a który wkrótce potem, gdy go już zobaczyć mogła, stał jej się droższym nad wszystkich innych. Byli sobie narzeczonymi długo, lat parę, a te lata, to może najpiękniejszy czas w życiu Pauliny. Pracuje, czekając, aż los pozwoli jej się złączyć z człowiekiem ukochanym, ale to nic: ma przed sobą jasny promień wiary w przyszłość, ma w sercu miłość i nadzieję, więc ma najdoskonalsze i może jedynie prawdziwe części składowe szczęścia — ma więcej niż szczęście samo, bo marzenie o niem, już niby blizkiem, tak niedalekiem, że tylko rękę wyciągnąć, a ujmie je i posiadzie na zawsze. Taka chwila, to jutrzienka względnie do słońca; potem, w południe, może ono dać skwar, upał tak piekący, że czoło znojem oblewa, potem może się ono zasłonić chmurą, która nagle nad-

plynie, tak się skryć poza nią, że choć będzie dzień niby, to jednak nie będzie słońca, tego, które grzeje, tego, które świeci, jest blaskiem i weselem świata — ale o świecie różowym, o jutrzence, która nam niebo płoni, nie się tego nie wie i tylko czeka wschodu, tylko marzy o potokach światła, o pięknie, o rozkoszy, o błogosci życia wśród jasności ciepłej. W dodatku przyjaźni pozostawała zawsze wierną sierocie; dom rodziców przyjaciółki przyjmuje co Niedziela, co święto parę narzeczoną; tam się schodzą, tam widują swobodnie, przepędzają chwile miłe, jakgdyby wśród rodziny, a tymczasem i w życiu przyjaciółki następuje zmiana. Aniela K. wychodzi za mąż, jest teraz Aniela S., ale to przeobrażenie nie rozdziela dwóch dusz pięknych, nie wpływa na związek serc połączonych, ze sobą tak, jak, według przeważnie panującego zdania, rzadko się łączą serca kobiece. W 1837 roku Paulina zostaje nakoniec żoną; mąż jest urzędnikiem pocztowym i środki utrzymania młodych małżonków są bardzo skromne, bardzo ograniczone; ale jej to nie trwoży, z pracy zawodu naukowego przerzuca się śmiało w pracę skrętną gospodyni domu.

Pierwsze mieszkanko młodych małżonków było ustronne i nieobszerne: przyjmują też bardzo mało i najbliższych tylko znajomych, bardzo mało bywają w świecie, a ona sama szyje wszystko, co potrzeba jest dla niej i dla domu, do którego zawitał wkrótce, bo niespełna w rok, mały gość z nieba. W 1838 r. rodzi się córka, Zosia, zmarła w 1858 r., istota bardzo wdzięczna, bardzo miła, której śmierć rozdarła do samej głębi serce biednej matki, lecz której urodzenie było dla niej szczęściem. A przybywa coraz tego szczęścia, *konsolacyi*, jak mawiano u nas postaremu. Rodzi się czterech synów: więc spada na matkę coraz więcej trudów i — trosk. Po urodzeniu drugiego syna, Ludwika, jej siły zaczynają się wyczerpywać, bo też teraz oprócz prac gospodyni, prac i mozołów macierzyńskich, trzeba jej jeszcze wrócić się do pracy, któraby przyniosła zarobek, do pracy na rodzinę. Daje lekcye, ale jej zajęcia literackie, do których pociąg dawny zbudził się, skoro tylko wyszedłszy za mąż, zyskała swobodę rozrządzenia czasem swoim, stają jej się tu pomocą główną: zyskując uznanie, wyrabiają jej stanowisko i dają życiu jej blask, który otaczał ją w epoce mającej bardzo skąpo tych promieni. Głusza, zastój literacki panował w Warszawie, dla niej przecież pisanie musiało być potrzebą ducha i odważyła się ująć znowu to pióro, do którego skradała się niegdyś ręka młodzieńczej dziewczynki. Stosunki literackie, jakie zawarła: ze Stanisławem Jachowiczem, z Walentyną Trojanowską (Horoszkiewiczową), z kasztelanową Nakwaską, sprawiają, że zaraz po zamążpójściu, bo w 1838 r. wydaje noworocznik: *Pierwiosnek*, w którego tomach następnych mieści się pierwsza drukowana praca Narczyży Żmichowskiej. *Pierwiosnek* wychodził przez lat sześć; ostatni tom wyszedł w 1843 roku; w nim to znajduje się już zaakomity, już całą przyszłość literacką Żmichowskiej objawiający wiersz: *Trzy chwile*. „Ach! być poetą, czy wiesz dziewczyno, co to poetą być znaczy?”

„Nie być mężczyzną, nie być kobietą,  
Prawem co ludzie mylnie nakreślą,  
Lecz być uczuciem, pojęciem, myślą...  
Dziewczyno! to być poetą“...

Namysły, narady nad *Pierwiosnikiem* odbywały się głównie u Nakwaskiej; to, co by dziś nazywało się sessjami. Krakowowa przybywała z Trojanowską na obiady, które nosiły nazwę *Pierwiosnkowych* i obradowały w ścieśnionem kole bliżej ze sobą związanych a przychylnych wydawczyń literatów. Z tego powstały zwolna wieczorki literackie u Krakowowej; krąg jej stosunków rozszerzył się, osobistość jej poczęła stawać się wybitną, i teraz w nowem już, obszerniejszem pomieszkaniu zbierało się dla wymiany myśli coraz liczniejsze grono ludzi, do którego z kobiet liczą się: Ziemecka, Jachowiczowa: Józefa Prusiecka, z mężczyzn jest Kajetan Korwell, wydawca noworocznika *Niezapominajka*, Szabrański, Skimborowicz, dalej Wójcicki.

Tymczasem dzieci podrastają; córka potrzebuje się uczyć i matka, która tu jest sama nauczycielką, obmyśla dla tej nauki warunki możliwie najkorzystniejsze. Zbiera sześć dziewczynek odpowie dniego wieku, które podzielają lekcye ukochanej Zosi, i to stanowiło pierwszy związek, pierwszą myśl tej szkoły, która w dziejach naszych zakładów naukowych dla dziewcząt, zająć musi miejsce wybitne torowania drogi postępu w kierunku najlepszym. Jak stworzyła to miłość macierzyńska, tak nazawsze pozostało tu czuwającym uczucie iście macierzyńskie, a stosunek uczennic do ochmistryni i z nim cały charakter szkoły był takim, że, przypominając rodzinę, wychowywał kobietę do rodziny i dla rodziny. Jak ta dusza kobieca była słodką, delikatną, kochającą wykazywało się najdoskonalej na tem jej stanowisku przełożonej. Naturalnie bywać tu musiały, jak wszędzie, uczennice lepsze i gorsze, lepsze i gorsze charaktery: przynoszono tu ze sobą rozmaite nawyknięcia, rozmaitego wychowania braki i wady; ona przecież wśród długich lat uciążliwej wśród i nad tem pracy nigdy nie wyszła poza granice tej słodyczy i łagodności, która tak silnie przywiązywała do niej: nigdy z ust nie wybiegło ostre, cierpkie, gniewem przejęte słowo. Jeżeli potrzebowało być karcącym, było tylko poważnym i smutnym, a przecież, jak zmęczonym było jej serce, jak skołatana była jej głowa! Więc mogłaby była czuć się już zniciertpliwioną nareszcie, mogłaby była stać się rozdrażnioną; miała za sobą na to jeżeli nie prawo, to wymówkę, usprawiedliwienie płynące z nieszczęśliwego życia, ale pewne dusze, dusze piękne, nie psują, nie zniżają się nigdy przez cierpienie. Cierpieć szlachetnie, utrzymać się przytem dostojnie, to ich świadectwo własne.

Jest przecież dobroć, jest łagodność, która wynika z miękkości, którą rodzi obojętność i jest pewnym rodzajem chłodu, brakiem żywszego współczucia dla dobra, nienawiści dla zła, czasem limfatycznością temperamentu, jego lenistwem i niemocą. Ale tam, gdzie dobroć znajduje się obok energii i woli silnej, która tworzy rzeczy trwałe i pożyteczne, więc łączące się nieuniknienie ze stałością i hartem ducha — tam, gdzie ta dobroć łagodna opiera się o ofiarę i zespala się z poświęceniem, nie jest bierną, lecz czynną, trzeba w niej uznać jeden z bardzo wysokich ducha przymiotów: cnotę powstającą z większej miłości ludzi, niż samych siebie. Żaden chłodny egoista nie utrzymał się przy pozorze łagodności, skoro tylko rozwinął czynność jakąś, nie wydawał się dobrym; skoro tylko nie mógł już być obojętnym. Łagodność pracowita i twórcza — taka, jaką posiadała Krakowowa, to nietylko przymiot tego gatunku, któremu każą się łączyć z kobiecością uległą, ale cnota ogólnie ludzka, owoc miłości i szlachetnego wyrobienia się duchem. A w obrazie życia, w rysunku charakteru Krakowowej, należy położyć na tę jej cnotę nacisk, bo jest ona zasadniczą, fundamentalną w wychowawcy, w pedagogu. Kto wychowuje przy pomocy grozy, trwogi wywieranej — źle wychowuje i oddziaływa nakrótko; przez uniesienie wywołuje odpór, złością swoją złość szczerpi i nie posiada dźwigni, niezmiernie ważnej w wychowaniu — przywiązania...

Według świadectwa wszystkich jej uczennic Krakowowa posiadała tę moc działania na wychowanki swoje w stopniu bardzo wysokim — kochano ją, ceniono niezmiernie jej opinią o sobie, szanowano niezmiernie ją samą. Przy wielkiej zawsze prostocie słowa, przy rodzinnej jakby atmosferze jej zakładu, umiała jednak zapewnić tam panowanie dla uczu i pojęć podniosłych i wracało to do niej niejako w zrozumieniu i uczczeniu jej charakteru.

Drugą stroną pracy i obywatelskich zasług Krakowowej jest jej działalność na ubogim u nas polu literatury dla dzieci i młodego wieku. Talent jej jest średni, ale podpira go dobrze wielka znajomość świata, dla którego tworzy, i przy szlachetności własnych uczuć wykształcenie pedagogiczne, niepozwalające nigdy, aby się tam znalazło cośkolwiek niepotrzebnego. Umiała przeciwnie dobierać zawsze przedmiotów potrzebnych, aby je młodemu umysłowi przedstawić, myśl jego na nie skierować i za pośrednictwem książki ude-

rzać w te strony myśli i uczucia, które w dziecku już odzywać się powinny, aby następnie rozwijać się i podnosić mogły. Uczuciowa strona jej twórczości i pewien miły wdzięk jej pióra sprawiają, że książki jej, zajmujące i poczytne, mają po wydań kilka, a zasługą ich ogromną już to jest, że zaradzały wielkiemu i bardzo szkodliwemu dla nas brakowi książki oryginalnej. Pierwszą jej książką dla młodego wieku są: *Powieści starego wędrowca*, wydane w 1839 r. Potem idą: *Rozmowy matki z dziećmi* 1841, *Pamiętniki młodej sieroty*, rzecz bardzo miła, ładna, w 1843 r.: *Nowa książka do nabożeństwa dla Polek*, także 1843 r.: *Niespodzianka, zbiór powiastek dla pilnych dzieci*, 1844 r.: *Wspomnienia wygnanki* 1845, *Obrazy i obrázky Warszawy* 1848, tegoż roku *Wieczory domowe*, *Proza i poezya polska wybrane do użytku młodzieży żeńskiej* 1860 r., *Branka Tatarska, Kampanella*, powieść przełożona z angielskiego; *Powieści z dziejów naszych* należą do prac jej ostatnich. *Powieści* wyszły już na gwiazdkę tegoroczną; zatem pracowała do chwili niemal ostatniej: zaczęła rano, a skończyła wieczorem późnym.

*Zorza*, *dziennik młodemu wiekowi poświęcony*, wychodzący w 1843 i 1844 (tomów 6) pod redakcją Krakowowej i Trojanowskiej, mieścił wiele artykułów jej pióra, podobnie jak *Pierwiosnek*, którego wartość, według krytyk ówczesnych, utwory redaktorki wiele podnosiły. I to wydawnictwo wchodzi niejako w dział literatury dla młodzieży. Pierwszy tom *Pierwiosnka* tak pod tym względem osądziło pismo wydawane wtedy przez Szabrańskiego: *Panorama literatury krajowej i zagranicznej*. „Z ciągłego usiłowania za skromnością i moralnością najczystsza — pisze *Panorama*, a dodać trzeba pisze tak źle popolsku, że chyba być to musi błąd drukarski — z przestrzegania samych uczuć łagodnych i z ogółu pism, wnosić należy, że redaktorka miała myśl z najpiękniejszych wzorów w każdym gatunku literatury ułożyć taką książkę, któraby w każdym czasie w rękę młodej panienci mogła być użyteczną, a że o wzory trudno, w części przynajmniej wypełniła swój zamiar“.

Nic przecież nie wykazuje, aby redaktorka miała rzeczywiście zamiar uczynić z *Pierwiosnka* książkę dla młodych panienek, że zaś wyszła taką, można to przypisać przychyleniu innej. Pisały ją same kobiety. Złożyło się ich na pierwszy tom *Pierwiosnka* dwadzieścia dwie, lecz to ubieganie się najczystsza moralność i skromność, leżało widać w usposobieniu ówczesnej kobiety naszej. Ciekawy też to rys do charakterystyki moralnej owego czasu. We Francji występuje już od lat kilku Jerzy Sand, idea emancypacji kobiet już tam wre, u nas już to wiedzą, pojęcia tam działające znają, rozprawiają o nich, tu i owdzie znajdzie się *twica* jakaś; sam *Pierwiosnek* przez wyłączenie swoją kobiecą, jest jakgdyby zawiązkiem tego, co potem miało wytworzyć w Europie kwestyę pracy kobiecej, niemniej pisarki usiłują się trzymać ściśle tego moralnego nastroju, który u nas tradycyjnie przedstawia typ kobiecości szlachetnej. Potem ukażą się *Entuzjastki*; Eleonora Ziemecka, którą się już w pierwszym tomie *Pierwiosnka* spotyka, wyrobi się filozoficznie; Żmichowska, którą tam znajdujemy w tomach następnych, rozwinię się w geniusz gorący, niemniej i te autorki późniejsze, wyższe od dawniejszych polotem twórczej fantazyi i siłą umysłową, nie odstępują nigdy od „najczystszej moralności i skromności“. I tak zostało u nas po dziś dzień. Były pokuszenia i porywy pewne w kierunku przeciwnym, ale duch narodu podporządkował je prędko pod swoje kobiecości pojęcie. Kobieta musi u nas trzymać się tych karbów porządku etycznego, albo poza szranki literatury zostać wypchniętą, przez przeciwstawienie się jej autorstwu, nie samej tylko krytyki, nie — ale ducha ogółu.

W pierwszym tomie *Pierwiosnka* znajdujemy między piszącymi: Hofmanową, Ziemecką, Jachowiczową, Józefę Prusiecką, Maciejowską (żonę historyka). Po ciszy długiej, po długim zamknięciu literackiem Warszawie, zaczyna się tam pierwszy ruch wiosenny — ruch kielków, które puszczają, soków, któremi nabrzmiwają pąki, — ma się ku rozbudzeniu ducha twórczego





z kilku dawnych przyjaciół jej męża, dziś zajmujących politycznie i administracyjnie ważne stanowiska, i z kilku chudych, przenośnie mówiących, literatów i dziennikarzy, pani ta, wdowa, doświadczona, ma przekonanie najgłębsze, że jest powołaną do odegrania ważnej roli w Rzeczypospolitej.

Córka lekarza z prowincyi, nigdy ona nie była piękną, ale w młodości była to świeża, hoża dziewczyna, wesola, śmiała i mająca w całej osobce tę kobiecość, tę potęgę wpływu magnetycznego na mężczyzn, i oczy, które gadały, i usta, które paplały ciągle. Przy takim usposobieniu i warunkach rodzice starają się wcześniej córki wydawać za mąż. W osmnastym roku Juleczka zaślubiła kolegę ojca, doktora, człowieka spokojnej i cichej natury, i po kilku latach została młodą i bardzo wpadającą w oko wdową, wolną i niezależną, z usposobieniem wrodzonym do wierszy i do pióra, rzuciła prowincyą i frunęła ku temu Paryżowi, który jest, i rajem, i piekłem młodości.

Nietylko, aby wypłynąć na wierzch, ale, aby się utrzymać w tym gwałtownym prądzie życia paryżkiego, trzeba mieć koniecznie pas ratunku, którym jest rozum lub serce, a więcej pierwszy nawet, niż drugie. Nasza więc wdówka, oprócz młodości, trochę wdzięku, szczupłego zapasu literackich preparatów, miała rozum, który zawsze widać było, jak mówiłem, w jej oczach, i który i dotąd pozostał nienaruszonym; zimny jest porządny — rozum dobrego gatunku. Zapomocą tego to pasa ratunkowego wdówka nasza znalazła się wkrótce w prądzie paryżkim, jak w swoim rodzimym żywiole. Widziano ją wkrótce na rąbku każdej większej fali, bujającą swobodnie jak nurerek korkowy; nurkowi temu do równowagi tylko służyły, niewielkiej zresztą wartości, literackie i poetyczne utwory, któremi obdzielała ciekawych, stojących wzdłuż brzegów...

Było to za czasów Cesarstwa, kiedy zrazu rozproszone szeregi rewolucyjne zaczęły się reorganizować nanowo i powoływały, przyciągały ku sobie wszystko, cokolwiek miało choć trochę tego rozczynu, w którym się miał rozplynać ostatek siły, stanowiącej podstawę ówczesnego rządu. Nasza wdówka, rozumna i nie w ciemną bita, zrozumiała odrazu, że na tej drodze może odegrać właśnie jedną z tych ról, do których jakby stworzoną była — rolę skomplikowaną, wymagającą śmiałości a razem wielkiej ostrożności, nakazującą patrzeć dobrze, gdzie się stawi nogę.

Mając córeczkę z pierwszego małżeństwa z lekarzem (*Derain'em*) i szczupłą fortunę, potrzeba było myśleć, aby do odegrania tej roli, znaleźć odpowiednią scenę. Rzucić się wśród tego zamętu, który wypełnia tłum bardziej huczny, niżeli inteligentny, elektorów z przedmieścia, nie było to ani w naturze, ani w usposobieniach naszej wdowy: w kołach wyższej potęgi, w społeczności wykształceńszych koryfeuszów republikańskich tendencji, znalazł się poszukiwany mąż, jeżeli nie *bene natus*, to *possessionatus*. Odtąd droga była wytknięta. W takim stanie rzeczy można było otworzyć salon, w którym wdówka, zrzuciwszy dawne, żałobne szaty, literatka o tyle, ile potrzeba, aby zabarwić salonowe turnieje, miła, młoda, choć niepiękna, ale ożywiona, rozumna i mająca ogromny zmysł praktyczności, zapanowała wkrótce rozgłosnie i utworzyła pewne centrum opozycji, gdzie się znalazły zjednoczone wszystkie siły będące przedtem w rozproszeniu. Pani królowała, a pan rósł w powagę i znaczenie.

Za Rzeczypospolitą p. Adam został prefektem policji w Paryżu, ale niedługo ten urząd piastował; zmienił mundur policyjny na senatorską togę. Lecz i tą niedługo się cieszył; prędko zmarł, zostawiając znowu wdowę, współniczkę swych losów i twórczynię politycznej swojej kariery. Umierając bezdzietnie, zapisał jej cały swój majątek, który, niebędąc wcale wielką fortuną, zapewnia jednak byt niezależny i wygodny.

Mili goście i konspiratorowie z dawnego jej salonu, dziś byli wszyscy u steru rządu i związane dawniej stosunki łatwo było utrzymać, mając szczególnie niezależne położenie i ustalone imię miłej gospodyni domu. Ale w Paryżu, jak gdziekolwiek indziej, niedosyć tego, aby stworzyć to, co się nazywa *Salonem* w literackim znaczeniu. Na

to potrzeba jeszcze pewnej tradycji i czasu. Salony tak zwane opozycyjne są daleko łatwiejszą rzeczą, bo tu zaraz jest wielka przyjęta zakazana owoc, pewnej tajemnicy i potrzeby informacji dla wszystkich i dla każdego.

Powiedzmy zaraz, że tu w Paryżu choćby chodziło jedynie o zapalenie tylko kilkunastu lamp i o kilka szklaneczek czystej wody, warunki są trudne. Trzeba wielkiej fortuny i wielkiej sytuacji. Tutaj brakło tych kardynalnych żywiołów. Lokal sam na trzecim piętrze, zaciąsny nawet przy otwarciu sypialni i garderoby, nie miał żadnej pojęty; wprawdzie przyłączono do tego wydawnictwo przeglądu; ale przeglądy w Paryżu! są to choroby, co i najzdrowsze przetrwają siły; jeden tylko tu żyje, stary, odwieczny: *Dwóch światów*. Słowem rzeczy szły mniej świetnie, aniżeli się spodziewano.

Ja-bym już był nie ruszał tej kwestyi, gdyby jeden z tutejszych dzienników nie przetłumaczył z polskiego listu panny Tryplinówny. Jestto prawdziwy dytyramb na pochwałę i chwałę podróży, czego wcale za złe mieć nie można, bo *tutti gusti sono gusti*; ale wkradły się tam pewne tendencyjne omówienia i niedokładności, które należy koniecznie uzupełnić i sprostować. Czytamy tam, jakoby ta znakomita podróżnica brała gorący udział w sprawie naszej literatury polskiej: jestto widocznie nadużycie stopniowania pewnych przymiotników, bo tego zapala nie widzieliśmy nigdy, ani w stosunkach towarzyskich, ani w zajęciu się sprawą naszego piśmiennictwa. Może to nastąpi czasem, ale dotąd, zaręczam tej pani, że nie a nic niema. A oprócz sławnego X., który się tam kręci, nikogo nie widzę innego; ten zaś tak mało ma w sobie polskości, że w rachubę nawet brać go tu nie można. Przytaczając słowa pani Adam z ostatniej podróży, powiada panna T., że wszystkie jej sympatyje zostały w Warszawie... „i że tam tylko mogą być słodkie promienie chwały“. Czy to jest złe tłumaczenie z polskiego, ale nie rozumiem wcale co by to miało znaczyć?

Dodajmy do tego, że panna Tr., przyzwyczajona do tego, co się u nas dzieje, powiada, że w Pikardyi, we wsi, należącej do tej pani, niema istoty, którąby nie umiała czytać. Chociaż mam niejaką wątpliwość co do tak wielkiego stopnia oświaty, przypuszczam jednak, że i to być może, ale z tym wyjątkiem, że to jest wioszczyna, w której się urodziła ta pani, ale która do niej nie należy bynajmniej i nie należała nigdy. Bo tu mamy jeszcze zamki, pałace, domy, rozległe grunta nawet, należące do ludzi prywatnych, zamożnych, lub do wielkich tradycyjnych rodzin; ale żadna tu wieś lub miasteczko nie jest własnością prywatną. Zresztą fortuna, którą zostawił jej ostatni małżonek, jestto fortuna przynosząca kilkadziesiąt, może 50 tysięcy franków dochodu, ale nie jest bynajmniej tak kolosalną, za jaką ją uważa wyraźnie, zaślepiona w swej przyjaźni, autorka owego listu z Polski. Słowem chciałbym jeden tylko sens moralny wyprowadzić z tego opowiadania: oto, abyśmy, oddając sprawiedliwość obcym, a szczególnie Francuzom, strzegli się tej chwały i zaślepienia!

Ale napisano było, jak powiadają Arabowie, „Maktub“, że wielka podróżnica, unikająca Seylli, wpadnie do Charybdy. Zanim dotarła do celu, zanim czas miał rozpatrzyć się wokoło, zaszły we Francyi zmiany. Takie zmiany w gniębieniu oka doprawdy nie są nigdzie możebne, jak chyba tylko we Francyi.

Z owej podróży jedno tylko zostało. Ludzie z północy, jak wam wiadomo, mają wielkie upodobanie do francuzkich konceptów, tak zwanych kalemburów. A że wielka podróżnica, jak mówiłem, jest już dzięki Bogu babunią, zrobiono więc taki koncept, jak tu nazywają *par à peu près*. Odezwał się ktoś, śmiejąc się znacząco: „Zapowiedano nam, jakby jaki fenomen, przybycie tej pani, a to jest tylko *La Grammaire française*“ (zamiast *La Grand' mère française*). Pod płynnym wymawianiem uchodzi to dość gładko.

Powtarzam wam to głupstwo, aby nic nie stracić; bo na wzór P. T. *in magnis* wszystko może służyć do wyjaśnienia głównego przedmiotu.

My tu rozpoczęliśmy rok ten pod fatalną planetą. Zaciągnięte mgłą i chmurami niebo ani je-

dnego promienia nie rzuciło na posępne miasto. Trwało to więcej niż trzy tygodnie. Z zapalonemi lampami i gazem, trzeba było, jak w Laponii, poprzestać i na tem. Meteorologowie, zaciekawieni z kolei, zaczęli szukać przyczyny tego zaćmienia i przekonali się, że powodem ciemności były ogromne masy śniegu zatrzymane w wyższych warstwach atmosfery. Dobrze! ale dlaczegoż o dwadzieścia mil od Paryża, ani śladu tych szarych franek? A tu, we Francyi, wokoło Paryża, ani okruszyny śniegu, ani kropli deszczu od półtora miesiąca. Słowem kwestya nad kwestyami!

(Dokończenie nastąpi)

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Stanisław Smolka: *Szkice historyczne*; Serya pierwsza. Warszawa, Gebethner i Wolff; Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1882 r. Str. VIII i 360 i 1 k. nlb., 8-vc).

W młodym wieku zawód swój dziejopisarski rozpoczął, a wielu w nim już pożytecznych i trwałych prac dokonał, Dr Stanisław Smolka, trzydziestoletni wszechniczy Jagielloński profesor. Dotychczasowa działalność sama przez się przepowiada temu zdolnemu, metodycznie uczoneму badaczowi dziejów ojczystych i pisarzowi historycznemu stanowisko tak wybitne w historyografii naszej, że przyszli pracownicy pomijać go nie będą mogli i, chcąc dalej snuć pasmo prawdy dziejowej, będą musieli z jego badań korzystać, w jego obrazy patrzeć, z jego wywodami się rozprawiać. *Mieszko Stary i wiek jego* jest prawdziwym *capo d'opera* dzisiejszej naszej literatury historycznej, a rozprawy Dra Smolki w łonie Akad. Umiejęt., prace drobniejsze, oddawane do czasopism, przynoszą prawie zawsze jakąś nową odpowiedź, lub nowe pytanie, ukazują zajmujący obraz przeszłości, uczą i przywiązują do siebie, — wszystko to zaś czynią w formie swobodnej, niepedantycznej, przystępnej dla ogółu tych maluczkich, co-to przeszłość ojczystą poznawać pragną, ale do wielkiego ołtarza historyografii dostąpić nie mają prawa, bo i exoterycznej mowy kapłanów czystej nauki zrozumieć-by nie mogli. To połączenie powagi z dostępnością jest faktem pocieszającym. Nie dość wiedzieć dla siebie: potrzeba wiedzieć dla narodu całego, i ten tylko prawdziwie w rozwoju duchowym swej powszechności rolę historyka spełnił, kto wiedział dla wszystkich, i to, co wiedział, wszystkim powieździeć umiał. Typem takiego narodowego historyka jest Macaulay w Anglii, Szajnocha u nas.

Pamięci też Szajnochy poświęcił autor zbiór pięciu rozpraw i opowiadań historycznych, tytułem powyższym objętych, nadając słusznie „szkicom“ autora *Jadwigi i Jagielly* stanowisko pośrednie pomiędzy angielskimi *Essays* a poważnymi monografiemi. Na takim stanowisku, sądzimy, umieści krytyka u nas i szkice samego Dra Smolki, uwzględniając indywidualne różnice stylu i tego zacięcia literacko-artystycznego, które nie każdemu danem być może i nie w każdym odrazu tak się *in actu* przejawia, jakim jest *in potentia*.

Cztery szkice z obecnie wydanych są przedrukowane z czasopism: *Długosza* czytaliśmy niespełna dwa lata temu w *Tygodniku ilustrowanym*, *Unia z Czechami* w *Ateneum* z 1879 roku, gdzie również znajdowało się i *Słowo o historyi*<sup>1)</sup>; *Witold pod Grunwaldem* nosi na sobie znamiona pracy okolicznościowej, która koniecznie narazie ujawnić się musiała; o *Niepoprawnym rodzie* tylko nie możemy powiedzieć: czy, kiedy i gdzie go autor drukował.

W przedmowie zapowiada nam Dr Smolka drugą seryą *Szkiców*, a każe się spodziewać i trzeciej, jeśli się okaże, iż dwie pierwsze dobre znalazły przyjęcie: możemy więc mieć nadzieję nie-

1) Oba pod odmiennymi tytułami: *Polska wobec wybuchu wojen husyckich i o pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi*.

ploną, że na dwóch tomach autor się nie ograniczy i, jak Szajnocha, i jego szczęśliwy naśladowca Kubala, z całym szeregiem obrazów i opowiadań przed powszechność swoją wystąpi.

W pierwszym zrzędu, najmniejszym ze wszystkich, szkicu *Ród niepoprawny* opowiada D-r Smolka treściwie, na podstawie *Kroniki Kosmasa*, współczesnego, a może i naoczego, świadka wydarzeń, tragiczne koleje Werszowców czeskich. Potęga tego rodu uległa w X w. pod przemocą władzy książęcej, ale po rozbiciu jeszcze dawała dowody upornej siły żywotnej. Ci Werszowce przez cały X wiek trzęsli Czechami, a w wieku XI macili rządy Przemysławcom, podszczuwali brata na brata, kierowali słabymi, zjednywali sobie mocnych, wywijali naprawo i nalewo morderezem żelazem; aż wreszcie doczekali się zapłaty od Światopełka, który ich za związki z Bolesławem Krzywoustym w r. 1109 mieczem wytepił lub postrachem wypędził.

Opowiadaniu temu przydałby się inny, lepszy, układ i styl plastyczniejszy. Należało rozpocząć od charakterystyki Werszowców, wystawić walki rodzinne Bolesława, Oldrzycha i Jaromira, opowiedzieć następnie główną przygodę ześrodkowaną naokoło osobistości Mutiny, a zakończyć obrazem rzezi i zemsty za nią. Na takim porządku szkic ten wiele-by zyskał.

Ucieczka niedobitków werszowieckich do Polski dała p. Smolce sposobność do przypomnienia teorematu, według którego państwo polskie powstało przez gwałt wewnętrzny, i tylko przezeń powstać mogło. Domysł to nie nowy, bo znaleźć go można już w literaturze emigracyjnej, a najdoskonalszy wyraz nadał mu, nie historyk, ale poeta. Przed obecnym pokoleniem pierwszy wystąpił z nim D-r Bobrzyński, i nie dziwnego: o taką a nie inną hipotezę wołała w niebogłosy sama logika; taka a nie inna hipoteza była niezbędną dla uzupełnienia prawdy dziejowej w znanem dziele D-ra Bobrzyńskiego wypowiedzianej. D-r Smolka trzyma z autorem *Historji Polskiej w zarysie*. Inny znowu historyk krakowski, D-r Franciszek Piekoskiński, przeciwstawiając się dwóm poprzednim, tłumaczy genezę państwa polskiego najazdem Lechii Wschodniej, nad Wartą i Odrą, przez Lechitów Zachodnich znad Łaby. Zajmujące wywody wszystkich trzech uczonych znaleźć można w XIV T. *Rozpraw i Sprawozdań z posiedzeń wydziału filologiczno-historycznego*, wyłącznie tylko dla nich poświęconym. Krytyka ma przed sobą drzwi naocież otwarte; ale czoło jej ciężkim uznoł się potem, zanim nam będzie mogła powiedzieć: co jest domnianiem, a co pewnikiem. W każdym razie nowe teorie wzbogaciły nam skarbiec wątpliwości: do Lachów normandzkich, Bohów, Wenedów, Herulów, Swewów, Lezgów, Trako Illyrów, Daków, samych nawet Keltów, przybywają teraz Lechici znad Łaby i tyrani znad Gopła, Warty i Wisły. W końcu swego szkicu D-r Smolka wypowiada żal: iż Słowianie Nadłabiańscy nie doczekali się takiego „króla zbója“, jakiego z piorunującą siłą odmalował Słowacki: taki tylko „król“ mógł ich być wyrwać z paszczy teutońskiej. Niewątpliwie: ambicya osobista w jednostkach działa silniej niż idee ogólne; około takiej osi łatwiej mógł się krąg samodzielnego bytu nad Łabą wytworzyć. Tam, gdzie tyle do żałowania zostało, żałować jeszcze potrzeba tego, że Chrobry nie chciał, tak, jak chciał umiał, utrwalenia swej władzy nad Słowianami Połabskimi.

Przenosimy się do czasów Jagielly. P. Smolka usiłuje wykryć istotne przyczyny opieszałości Witolda po pogromie grunwaldzkim i wykrywa je w dążeniu tego genialnie-ambitnego człowieka do trzymania, zarówno króla, jak i możnowładztwa, polskiego w ciągłej od siebie zależności. Witold chciał być potrzebnym, aby być wpływowym; powściągał działanie magnatów ówczesnych na rząd w Krakowie, miał przy królu oddanego sobie podkanclerzego Jastrzębca, późniejszego prymasa, oszczędzał Zakon, pozwalał mu otrzymywane rany zagajać, a s śmiertelnych nie dopuszczał, umożliwiał mu ciągle napaści i spory, zapominał nawet o ukochanej Żmujdzi: ciągle bowiem liczył na to, że dopóki Krzyżacy będą mogli wicherzyć, dopóty on sam będzie mógł zarabiać i, dając pomoc Polsce, własną tylko swą potęgę i wzmocni i rozszerzy.

Autor przypomina pogłoski o zamiarze koronowania Witolda na króla Litwy, jeszcze w r. 1398, hardą odezwę Jadwigi, układ Witolda z Krzyżakami na wyspie Salińskiej<sup>1)</sup> — jestto wyspa Salińska traktatu Pokoju Raciążkiego z r. 1404 (*Vol. L. I, 64*) —; przypomina bitwę nad Worskłą i genialny plan wytworzenia wielkiego Państwa Litewskiego, — i na tem wszystkim opiera domniemanie, że Witold rozmyślił po Grunwaldzie opóźnić pochód na Malborg i następnie pierwszy swe wojska z widowni wojennej wyprowadził, aby odwrócić od Zakonu zupełne już, bez nadziei, rozbicie. Innemi słowami, mówiąc rodowitym językiem Historji, językiem szczerości, Witold d. 15 Lipca, w wirze bojowym, podniósłszy się aż do bohaterstwa, w nocy z d. 15 na 16, w samotności namiotu swego, spada na samo dno odstępstwa: zamysła o zdradzie, — boć inaczej tego świadomego oszczędzania Zakonu, w chwili kiedy go zgnieść było można, nikt nazwać nie zdoła.

Nie podobna zaprzeczyć, że po zwycięztwie grunwaldzkim Witold wcześniej, niż był powinien, zeszedł z pola, a to oddalenie się wyrządziło wielką krzywdę działaniom wojennym przeciwko Zakonowi. Krzyżactwo zostałoby pewno do szczętu zniażdżonem, gdyby, zamiast czas marnotrawić, uderzono zaraz po Grunwaldzie na Malborg, a obalenie prowadzono energicznie i z zapalem, jaki w massach rycerstwa na pierwszą chwilę zostawić musiało takie zwycięztwo, z którym jedno tylko pod Azincourt doniosłością swoją w owym wieku zmierzyć się mogło. Ale czy sam tylko Witold przed czasem działań zaprzestał; czy tylko on sam do ocalenia Zakonu się przyczynił; czy, będąc wodzem wojska, w wielkiej massie nieregularnego, mógł mieć nad niem zdala od kraju tę nieograniczoną władzę, jaką na stolicy swej w Wilnie, w charakterze pana, wywierał? Czy nie było odrazu niechęci w obozie litewskim, jak była nieco później, jawnie już zaświadczona, w obozie polskim; czy rozumowi czynnemu nie oparła się znowu bierna materya, massa ciemna, osobistemi widokami powodowana, jak było nieraz w tych bolesnych dziejach naszych? Zdaje nam się, że na postawę *massy* w obu połowach wojska należałoby badania skierować. Dziś już wiemy, że ociężałość w zbieraniu się wojska przed Grunwaldem miała swoje przyczyny nawet ekonomiczne: dlaczegożbyśmy nie mieli postawić sobie pytania: czy znowu opieszałość po Grunwaldzie nie ma również jakich przyczyn ogólniejszego znaczenia, rozpostartych szerzej, a nietylko w duszach, w umysłach jednostek kierujących? P. Smolka nagromadził sporo faktów uprzednich obciążających Witolda, ale nie wykazał przyczynowego związku, któryby z mocą nieprzepartej logiki skuwał je w jedno z ową opieszałością rzekomo rozmyślną — i ostatecznie nie wiemy: o czem marzył Witold w nocy po bitwie grunwaldzkiej.

W owem rzucaniu ciągłem kija pod nogi Polsce mogła się przejawiać genialność Witolda: ale dlaczego przypuszczać, że już wszystko, co człowiek ten robił, genialnem było; że mu nigdy nie zbrakło rozumu widzącego cel należyty, lecz brakło zawsze woli, do tego celu popychającej? Nie należy wyłączać i tej możliwości, że Witold nie znalazł w sobie dostatecznej energii, nie miał dość bystrego wzroku wojennego, aby jednem spojrzeniem ogarnąć cały ogrom klęski krzyżackiej i dostrzedz możliwość zupełnego zgniecenia Zakonu. Mogło być dla niego korzystnem osłanianie Krzyżaków, dopóki Zakon istnieć musiał, ale od chwili, gdy mógł nie istnieć, polityka poddawiania nogi powinna była przed takim genialnym umysłem, za jaki autor Witolda uważa, wszelki swój urok utracić. Przypuszczając, że stryjeczny brat Jagiellów był trzeźwym politykiem, dziwić się musimy: że w chwili tak stanowczej nie zerwał z tą polityką, która mu absolutnie żadnych nie przynosiła owoców, i nie pomyślał o tem, że zgniecenie Zakonu dawało mu sposobność do powiększenia własnych dzierżaw, do owładnięcia ca-

tego Niemna, aż po ujście, do zagarnięcia całej wschodniej połaci późniejszych Prus Książęcych, którą zresztą oddawało mu samo położenie geograficzne? Za domysł niepoparty żadnem poważnem świadectwem uważać musimy twierdzenie, iż Witold spowodował odrzucenie przez Jagiellę złotego pokoju, jaki mu ofiarował był podczas obłężenia Malbarga Plauen; że świadectwa zaś Długosza, iż niekorzystny pokój z dnia 1 Lutego 1411 roku był dziełem Witoldowem, nie wynika wcale jeszcze pewnością, że Witold działał w złej wierze.

*Witold pod Grunwaldem* nie daje Witolda dziejowego, choć jego rzeczywiste rysy ukazuje: ambicyę, zimny rozsadek, stojący zawsze na straży własnego interessu, przywiązanie do udziałności, plany daleko sięgające w przyszłość. Nie widzimy w nim wszakże jednego rysu: wielkiej porywczoci i niestałości temperamentu, która w tej bogatej naturze łączyła się dziwnie z zasadniczą niewzruszonością, podestaną niejako pod ową burzliwość. Dusza Witoldowa przypomina falę rozigraną na powierzchni spokojnego w głębiach swoich morza. Sam autor poprawia powyższe malowidło swoje w Szkicu *Unia z Czechami*, kiedy mówi, że „ideałem Witolda było takie pokierowanie nawą państw zjednoczonych, żeby z nich utworzyć olbrzymią, polsko-litewską monarchią“ (str. 184). Człowiek z tak wielkim ideałem nie mógł ani na chwilę wahać się w wyborze pomiędzy lichemi korzyściami, jakie mu obiecywało, — a raczej obiecywać mogło — wicherzenie przy pomocy Krzyżaków, a tym ogromnym pożytkiem, jaki dla owego ideału zapewniało zgniecenie na wieki Potęgi Krzyżackiej. Rozbiór posiadłości Zakonu pomiędzy Polskę i Litwę po Grunwaldzie byłby wypadkiem tak olbrzymio wielkim, że od niego dzieje świata innym byłyby poszły torem. — Ale nie tylko w tym jednym: w stu wypadkach umiano świetnie bitwy wygrywać, a niesświetnie zawierać traktaty. Silne życie osobnikowe, atomistyczno-uczuciowe, w meźtwie ukazywało rozkosze; serca i ramiona umiały zwycięztwa odnosić: ale rozum nie umiał z tych zwycięztw korzystać. Rozum społeczeństwa wytwarza się tylko z uprzedmiotowionego rozumu jednostek: a my właśnie żyliśmy zawsze i żyjemy dotąd, na wyżynach czy na padolach, przeważnie podmiotowo.

(Dokończenie nastąpi)

## KARTKA DO DZIEJÓW CYWILIZACYI

DROGA DO WNETRZA AFRYKI

przez

Dr Antoniego Rehmana.

(Dokończenie)

Jakoż z wiosną r. 1879 znalazł się Stanley rzeczywiście w Zatoce Gwinejskiej, a w miesiącu Listopadzie tegoż roku podpłynął pod wodospady Yellala i założył tutaj osadę Vivi, ażeby mieć pod ręką magazyny, warsztaty i wszystko, co było potrzebnem do spełnienia zadania. Jak trudnem było to zadanie, o tem daje najlepsze wyobrażenie okoliczność, że do ominięcia pierwszej grupy wodospadów, a zatem dla zrobienia dziewięciu mil drogi, Stanley potrzebował osmnastu miesięcy czasu. Na całej przestrzeni zamkniętej wodospadami, od Czumbiry do Vivi, przedziera się rzeka Kongo przez kraj górzysty, niezbyt wysoki, ale poszarpany; grunt jest tutaj prawie wszędzie pokryty bujnym, wilgotnym, ciemnym lasem dziewicyzm, a gleba pomimotto skalista, co utrudnia roboty w ziemi. Prawy brzeg rzeki, czyli północny, okazał się odpowiedniejszym do budowy drogi, ale i z tej strony wpada do Kongo kilkanaście potoków i rzek, których koryta, zamknięte wysokimi brzegami, dochodzącemi niekiedy do 500 stóp, niesłychanie w pochodzie karawany Stanleya stawiały trudności. Cały ładunek p-

1) Treść tego układu, z d. 12 Października 1398 r. nie potępia bynajmniej Witolda tak, jakby się z opowiadania Dra Smolki zdawać mogło (ob. Daniłowicza *Skarbiec*, tom I, str. 313 do 315). Podejrzaniem tylko wydają się punkta XV i XIX umowy zasadniczej, spisanej w Grodnie w Kwietniu tegoż roku.

dróżny, ważący z górą czterdzieści beczek (beczka okrętowa waży trochę więcej nad 2000 funtów) był niesionym przez ludzi i muły, sprowadzane z wyspy Teneryfy, a samo zapakowanie, później rozpakowanie, tego ładunku wymagało dwóch godzin czasu. Ponieważ potoki tutejsze po każdym deszczu silnie wzbierają, przeto zdarzało się nieraz, że jeden deszcz całą karawanę w najniegodniejszej miejscowości na kilka dni zatrzymał. Ponieważ okolica ta jest słabo zaludnioną a krajowcy o pracy nie mają wyobrażenia, przeto robotników do bicia drogi trzeba było zkąnąd sprowadzać. Za najodpowiedniejszych do tego celu uważał Stanley mieszkańców Zanzibaru i zamtąd ich sprowadzał; ale ci klimatu tutejszego nie znosili, ginęli szybko, a zmarłych trzeba było bezustannie żywymi zastępować. Ginęli także biali towarzysze podróży, a między innymi umarło dwóch officerów belgijskich, zajętych dozorowaniem robót. Cała ta okolica jest mało zaludnioną a uprawa ziemi zaniedbaną, wskutek czego i nadzieja otrzymania od krajowców środków do życia najzupełniej zawiodła. Pożywienie, nietylko dla białych uczestników wyprawy, ale i dla Murzynów zajętych pracą około drogi, a nawet siano i obrok dla zwierząt jucznych — trzeba było z Europy sprowadzać.

Nie dziwnego, że wobec takich trudności przebycie pierwszej grupy wodospadów wymagało tak długiego czasu. Dokonanie tej czynności przypada na Kwiecień r. 1881. Stanąwszy w Isandzylu, kazał Stanley złożyć przeniesiony statek i podpłynął do Mandżangi, gdzie rozpoczyna się druga grupa wodospadów. Przystąpił on tutaj już w Lipcu roku przeszłego do prac nad drogą, mającą na celu omięcie tych wodospadów, i pozostawiając te prace kierownictwu uzdolnionych inżynierów, wybrał się z kilku towarzyszami w górę rzeki, dla zbadania okolicy, a głównie, ażeby porobić przygotowania do założenia stacji na górnym brzegu wodospadów, około Czumbiry, gdzie Kongo ulega znacznemu rozszerzeniu i wytwarza płaszczyznę wodną, nazwaną Stanley-Pool. Wybierając się w tę drogę nie domyślał się Stanley, że był już tam przed nim ktoś inny i porobił przygotowania, mogące mu wyrwać z ręki palmę pierwszeństwa.

Współzawodnikiem dzielnego Amerykanina był tym razem francuzki podróżnik Savorgnan de Brazza. Chcąc zrozumieć, w jaki sposób dostał on się nad Kongo, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że o kilka stopni geograficznych dalej ku północy wpada do Zatoki Gwinejskiej w bliskości Gabunu inna znaczna rzeka, nazwana Ogowe. Ogowe była od wielu lat przedmiotem skrzętnych poszukiwań Francuzów, którzy przypuszczali, że przy jej pomocy zdołają dostać się do środka Afryki i zawiązać z tamtami krajami stosunki handlowe. Nadzieje te nie spełniły się, bo Ogowe jest tylko na siedmdziesiąt mil spławna, a plemiona zamieszkujące jej wybrzeża należą do najdzikszych i sprzeciwiają się ciągle zawiązaniu stosunków z Europejczykami. Brazza badał te strony w latach 1876 do 1878. Dopłynąwszy na rzecę Ogowe do ostatniego punktu, przystępnego dla żeglugi, wysiadł na ląd, z zamiarem rozpoznania okolicy na wschód od tego punktu położonej. Zrobiwszy piętnaście mil drogi w tym kierunku, znalazł się niespodzianie nad piękną rzeką, szeroką na 100 metrów a głęboką na 5. Była to rzeka Alima. Czarni mieszkający nad jej brzegiem opowiadali, że płynnie bezustannie ku południowi i wpada do „wielkiej wody“.

Brazza powrócił do Gabunu, gdzie dowiedział się o wypadkach podróży Stanleya z r. 1877 i o odkryciu przez niego średniego Kongo. Domyślił się natychmiast, że „wielka woda“, do której Alima uchodzi, nie może być niczem innym, jeno rzeką Kongo, a zrozumiał zarazem, że jeżeli Alima jest rzeczywiście bez przeszkody spławna, jak to utrzymywali krajowcy, to przy pomocy jej i rzeki Ogowe możnaby się, nietylko dostać z łatwością do Kongo, ale zaprowadzić stałą komunikację, która nieobliczone korzyści przyniosłaby przedsiębiorcom.

Brazza powrócił bezzwłocznie do kraju i przedstawił swój projekt równocześnie francuzkiemu parlamentowi i tamtejszemu oddziałowi międzyna-

rodowego stowarzyszenia afrykańskiego. Izba uznała projekt za obchodzący kraj cały i wyznaczyła na jego przeprowadzenie 100,000 franków, a oddział obiecał swe poparcie i pomoc materyjalną. W Grudniu r. 1879, gdy Stanley rozpoczął swe prace nad dolnemi wodospadami, Brazza przybył do Gabunu, udał się w górę rzeki Ogowe i założył tamże osadę Franceville, a pozyskawszy, szczególnie przez zniesienie niewolnictwa, dla swych zamiarów krajowców, udał się nad Kongo i znalazł się we Wrześniu 1880 r., gdy jego współzawodnik walczył jeszcze z pierwszą grupą wodospadów, nad Stanley-pool. Pozyskał on i tutaj dla siebie naczelnika Makoko, otrzymał pozwolenie założenia osady francuzkiej, zajął w posiadanie południowy brzeg rzeki, i wywiesił banderę francuzką, założył osadę, której dał nazwę Brazzaville. W tej chwili przedstawicielami Francji są tam trzej Murzyni w uniformach marynarskich z nazwą okrętu „Eurydice“ wypisaną na czapkach. Znad Stanley-pool powrócił Brazza do Gabunu, udał się zamtąd (w Grudniu 1880) do Franceville i zaczął torować drogę, po której zamierzał przenieść przyobiecany sobie parostatek z Ogowe na wody Alimy. Jak daleko prace te postąpiły i czy Brazza jest blizkim urzeczywistnienia swego zamiaru: tego nie wiemy, bo od Maja przeszłego roku jeszcze od niego nie nadeszły wiadomości, a podówczas czekał on jeszcze na przybycie wzmiankowanego okrętu z Europy.

Zdawałoby się, że współzawodnictwo toczące się w tej chwili między Brazzą i Stanleyem ma charakter polityczny i że rozchodzi się o to: Kto opanuje rzekę Kongo: Francuzi, czy Anglicy? Ale w rzeczywistości tak nie jest, bo tak jeden jak i drugi działają w imieniu międzynarodowego stowarzyszenia afrykańskiego i jest zupełnie rzeczą obojętną, kto swój statek wprzód spuści na wody rzeki Kongo. Ważniejszym jest daleko zapytanie: która droga okaże się praktyczniejszą w przyszłości? Droga torowana przez Stanleya jest krótszą, bo wynosi 72 mil, a z tego tylko 20 przypada na omięcie wodospadów; niedogodności powierzchni są tutaj jednakże tak wielkie, budowa stałej drogi będzie tak trudną, a utrzymanie jej tak kosztownem, że kto zna dzieje takich przedsiębiorstw w południowej Ameryce, lub innych krajach podzwrotnikowych, ten nie może rokować przedsiębiorstwu Stanleya wielkiego powodzenia. Droga Brazzy jest znacznie dłuższą, bo wynosi 124 mil, ale z tego przypada tylko 15 mil na omięcie przestrzeni, dzielącej wody Ogowe od wód Alimy. Ponieważ przestrzeń ta jest równiejszą, pokrytą przeważnie sawannami, niezbyt wilgotną, zamieszkałą przez liczne plemiona, mogące dostarczyć w razie potrzeby, i robotnika, i pożywienia, tak dla ludzi, jak i dla zwierząt, przeto nie podlega najmniejszej wątpliwości, że przedstawia ona o wiele korzystniejszą powierzchnią do budowy drogi, aniżeli na linii obranej przez Stanleya, a przedewszystkiem, że utrzymanie tej drogi będzie mniej kosztownem, a temsamem i zaprowadzenie stałej komunikacji w tym kierunku łatwiejszem. Rozchodzi się w tej chwili przedewszystkiem o to: czy rzeka Alima jest rzeczywiście wolną od wodospadów i czy nie stawi przeszkód żegludze? Zbadaniem jej zajmował się w przeszłym roku Brazza, ale o wypadku jego poszukiwań nic na razie nie wiemy. Inna trudność mogłaby wynikać ze strony krajowców, ale ostatnie wojny z nimi, tak w Aszantyi, jak i w kraju Zulu, przekonały nas, że element ten nie jest niebezpiecznym i da się z łatwością opanować. Jasną jest rzeczą, że gdyby droga Brazzy okazała się praktyczniejszą od drogi Stanleya, to Francuzi, w których ręku znajduje się Gabun z ujściem rzeki Ogowe, mogliby się uważać za panów żeglugi na Kongo i największe z otwarcia Środkowej Afryki odnieśliby korzyści.

Ale mniejsza o to: kto pierwiej spełni swe zadanie, lub komu przypadną w udziale materyjalne korzyści. Dzisiaj można już uważać za rzecz pewną, że przed końcem bieżącego roku żegluga parowa zostanie zaprowadzoną na wodach największej z rzek afrykańskich, a temsamem i dzieło cywilizacji Środkowej Afryki zostanie zapewnionem. Znaczenie takiej żeglugi pojmie ten, kto wie, z jakimi trudnościami musieli walczyć tam

dotąd wysłannicy cywilizacji i ile ofiar te ziemie pochłonęły, a tembardziej, jeżeli sam tego chleba próbował. Kto w towarzystwie niesfornej bandy krajowców zmuszonym był przedzierać się z narażeniem własnego życia przez afrykańskie stępy i puszcze; kto walczył na każdym kroku z głodem, chorobą i nędzą wszelkiego rodzaju, a walczył jedynie dlatego, ażeby dopiąć zamierzonego celu: temu serce mimowoli silniej uderzy na myśl, że niezadługo będzie mógł przebywać tesame obszar przy pomocy pary, i że w najodleglejszych zakątkach puszczy afrykańskich napotka białe twarze, których widok przypomni mu ojczyznę, pozwoli zapomnieć o przykrościach podróży, doda siły i pomocy do zwalczania reszty przeszkód.

Nadzieje te nie polegają bynajmniej na złudzeniu. Dzisiaj już wysłannicy trzech stowarzyszeń misyjnych (dwa angielskie a jedno francuzkie) idą drogą wskazaną przez Stanleya, zdążając do wnętrza Afryki, a dwie kompanie handlowe (jedna belgijska i jedna holenderska) zakładają swoje faktorye nad średnim Kongo, czekając na zjawienie się parostatków. W ślad z niemi pójdzie z pewnością liczna falanga ochotników, działających na własną rękę. Żyjemy w czasach wielkiego ruchu umysłowego, wielkich odkryć i przedsięwzięć. Każda myśl nowa zyskuje uznanie, a każde nowe pole budzi współzawodnictwo. Potrzeba tylko wskazać świeżą drogę, a znajdą się z pewnością tacy, co ją utworzą. W obecnym przypadku droga jest już wytknięta: ze spokojem więc wyglądać można pozytywów, jakie przyniesie cywilizacji.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Modrzejowska pewną część dochodu, z benefisu swego przeznaczyła na założenie szkoły koronkarskiej w Zakopanem.

P. Helena Gabryelowa otrzymała dyplom szczególnego uznania za koronki, wyrobione w jej szkole, a przesłane do Lwowa na Wystawę pracy kobiecej i przemysłu domowego, urządzoną przez miejskie Muzeum Przemysłowe. Szkoła p. Gabryelowej, mieszcząca się w jej własnym pomieszczeniu (Krakowskie-Przemiaście Nr. 40), rozwija się bardzo szczęśliwie. Nauka najzupełniej bezpłatna, udzielana codziennie, z wyjątkiem Piątku i Niedzieli, przez samą założycielkę, od 10 do 12 godziny w południe, ściągnęła zaraz w początku 70 uczennic, w tej liczbie 30 dziewczynek z Ochrony. Na rok następny, to jest na kurs zeszlorzoczny, zapisało się 119; w roku bieżącym liczba doszła do 160, a uczennice pochodzą tak z niższych, jak wyższych klas społeczeństwa i są różnego wieku. Prócz nauki dostają tam uczennice pomoce takie jak: wzory, nici koronkowe, oraz poduszki i pałeczki, czy klocki, służące za warsztat do wyrobu koronek, mogących u nas upowszechnić się najprędzej i mieć największą łatwość zbytu, a które zowią się zfrancuzka: „torchon“, u nas zaś, podobnie jak w Czechach: „koronkami gospodarskimi“. Uczennice wyrabiają również walansię, niekiedy bardzo już szeroką a nawet kunsztowne koronki „à l'aiguille“ i „point de Venise“. Ale obok koronek gospodarskich szkoła wyrabia więcej czarnych gipiur. Czas nauki trwa zwykle od 3 do 6 miesięcy; przy pilności i dobrej chęci, już po trzech miesiącach można dojść do wprawy, dającej niejaką możność zarobku.

Uzdolnione uczennice zarabiają za pośrednictwem szkoły przy 6 lub 8 godzinach pracy, więcej niż 1 rs. dziennie, kilkanaście innych uczy na mieście wyrobu koronek, pobierając za godzinę nauki dziennie od 6 do 10 rs. na miesiąc. Między innymi jest jedna 11-letnia dziewczynka z Ochrony, mająca cztery lekcye na mieście i zarabia w ten sposób 23 rs. miesięcznie.

W zeszłym roku szkolnym opuściło szkołę 40, w roku bieżącym już 20 uczennic, zupełnie uzdolnionych, z których jedna założyła szkołę koronkarstwa na prowincyi. Od kilku miesięcy szkoła p. Gabryelowej poczęła przyjmować obstalunki

od osób postronnych i wykonała ich za znaczną, jak na nasze stosunki, summe kilkaset rubli, przy czem całkowity zysk poszedł dla robotnic. Gdyby panie nasze, a szczególnie takie naprzykład zakłady, jak Sw. Marty, poparły zacne usiłowania p. Gabryelowej, przez dostarczenie szkole warszawskiej roboty, spełniłyby dobry uczynek obywatelski, popierając przemysł krajowy w jego najpożądanej galęzi: domowej pracy kobiecej. Choć odrazu dojść nie możemy do takiego rozwoju wyrobu koronek, jak to me miejsce za granicą, choćby tylko w sąsiednim nam i pobratymczym kraju czeskim, niemniej dobry początek został zrobiony i dzieło p. Honoraty Łukasiewiczowej z Chorkówki, hr. Potockiej z Rymanowa i wreszcie p. Heleny Gabryelowej z Warszawy, jest dziełem wysokiej zasługi społecznej, i dać mu poparcie jest obowiązkiem każdej z tych kobiet naszych, które kochają kraj i lud jego ubogi—ubogą kobietę, z tych szczególnie warstw, gdzie nagłe przewroty ekonomiczne, nagłe kataklizmy wytworzyły nędzę, a ona, nieszczęśliwa, do ciężkiej pozadomowej pracy nieuzdolniona, zaradzić jej nie może. Rozwój miejscowego koronkarstwa, ma u nas niepospolite znaczenie. Czytamy wciąż ogłoszenia o sprowadzanych koronkach zagranicznych z miejscowości, w których przemysł ten świeżo też zaszczerpionym został, otóż niekupowanie nigdy tamtych, a wraze potrzeby kupowanie zawsze tych—tych naszych, wypracowanych rękami ubogich kobiet polskich, uważać trzeba, uważać należy, za obowiązek patriotycznej względem kraju lojalności. Jeżeli Spencer wprowadził do katechizmu ludzkości *grzechy fizyczne* przeciw zdrowiu naszemu, czy wskutek ciemnoty czy niedbałości popełniane, to niemniej wnieść tam należy *grzechy ekonomiczne*, grosz z kraju wyprodawające, a najczęściej też popełniane nie ze złej chęci, ale z braku myśli, przez niedbałość i niezastanowienie. Jest to ubożenie siebie, a bogacenie obcych, jest to haracz dobrowolnie składany—jest to bezmyślność i brak tej uczciwej miłości własnej, która każe swoje rzeczy najwyżej cenić, w swoich rzeczach się lubować. Odnosnie do koronek dodać tu jeszcze należy, że wypaczamy sobie dobry nasz gust, na szlachetnych wzorach wyrobiony, przyzwyczajając oczy do deseni brzydkich, o prostej, sztywnej, bizantyńskiej linii. Jest u nas przysłowie: „Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka“ — jest szlachetne wezwanie poety: „Czyni każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży“.

Malarnia p. Józefy Żdzarskiej (ulica Marszałkowska Nr 69), zostaje pod artystycznym kierunkiem znanego i słusnie cenionego malarza Alchimowicza; to zaś, coby nazwać można kierunkiem moralnym, a co nie jest rzeczą obojętną w szkole wszelkiego rodzaju, spoczywa w dobrze uzdolnionych do tego rękach samej naczelniczki zakładu. Opłata miesięczna za lekcye rysunku jest 5 rs., za lekcye malowania i rzeźby 6 rs.

Stowarzyszenie nauczycielek krakowskich odbyło w d. 13 Lutego, w salach magistratu, zgromadzenie doroczne. Drukowane sprawozdanie za ubiegły 1881 rok, wykazuje pomyślny rozwój stowarzyszenia. W roku tym przybyło stowarzyszeniu 41 członków, a majątek jego powiększył się o 767 zł. reń. Udzielono pomocy 9-ciu członkom w summie 195 zł. reń., pożyczek członkom 18-stu w summie 976 zł. reń. Prezydentką stowarzyszenia jest Antonina Zubrzycka, sekretarką Joanna Pogonowska, podskarbin Julian Maciołowski. Postanowiono urządzić w roku bieżącym stałą wypożyczalnię książek dla nauczycielek w Krakowie.

Francuzkie stowarzyszenie kobiece: *Union des Femmes Artistes*, otworzyło w Paryżu, przy ulicy Vivienne, pierwszą wystawę obrazów pendzla niewieściego. Wystawczyń jest 17; odznacza się między nimi największą samodzielnością talentu pa-stelistka Breslau, nagrodzona medalem na tego-

rocznej wystawie paryzkiej. Malarka olejna Koch wystawiła portret zaszczytnie znanej z czasów francuzko-pruskiej wojny bohaterki, telegrafistki Dodu, która przedstawiona jest z krzyżem legii honorowej na piersiach.

Paryzka Akademia Sztuk Pięknych otrzymała zapis 48,000 franków, z przeznaczeniem używania rocznego procentu od tej summy na zapomogi dla młodych a niezamożnych kobiet, poświęcających się zawodom artystycznym.

Rząd francuzki powierzył dwóm rzeźbiarkom wykonanie, dla gmachów publicznych, dwóch dzieł sztuki: L. Martin, popiersie Le Verrier'a; J. Latry, popiersie Auber'a. Istnieje popiersie tego muzyka dłuta Davida, i w dzień obchodzonego właśnie jubileuszu, było ono umieszczone u wejścia głównych wschodów Opery.

Kosztom rządu francuzkiego, zostanie w roku bieżącym otwartą w Paryżu szkoła zawodowa dla dziewcząt, rzemieślnicza i zarazem gospodarza (*Ménagère et professionnelle*). Jednocześnie powstać ma cztery rzemieślnicze szkoły dla chłopców: stolarstwa meblowego, budownictwa (*pour les industries de bâtiment*) narzędzi ściśle doskonałych, wreszcie fizyki i chemii, stosowanej do rzemiosł. Fundusze są już zatwierdzone, programat nauk nakreślony. W Izbie parlamentu odzywały się przeciw glosy, że wzniesienie jednej takiej szkoły dziewcząt na cztery męskie, jest nierównym rozdziałem funduszu edukacyjnego. Minister oświecenia—wtedy Paweł Bert—odpowiedział, że owiele większa w rozmaitej swojej liczba rzemiosł męskich, zmusza do tej pozornej niesprawiedliwości. Przytem bardzo znaczna liczba kobiet, wychodząc za mąż, pracuje głównie w rodzinie, do czego też przez rodzinę uzdolnioną zostaje. Szkół elementarnych powinno państwo dać w stosunku do męskiej i żeńskiej ludności liczbę równą, ale zawodowych—nie.

Paweł Bert przyjmując, jeszcze jako minister, dyrektorki Normalnych szkół dla dziewcząt, panie: Juluszową Favre i Maryą Peaut, powiedział: — „Kiedy się uczy chłopiec, przybywa krajowi jeden oświecony człowiek, ale w każdej młodej dziewczynie kształci się cała przyszła jej rodzina“.

Na paryzkiej wystawie elektryczności przyznano złote medale: Belgijce Gloesener i Amerykance Gray. Srebrne otrzymały dwie Francuzki, panie Seguy i Bonis.

We francuzkiej obozowej służbie zdrowia, wysłanej do Tunisu, znajduje się dzielna i poświęcona kobieta, panna Thierry, już znana z ofiarności swojej podczas oblężenia Paryża. Nie jest ona siostrą miłosierdzia, ubiera się jak zwykle w iwan-

dierki i nosi na piersiach 17 medali otrzymanych za zasługę obywatelską.

Paryzkie Stowarzyszenie Aklimatyzacyjne przyznało kobietom trzy medale; otrzymały je: panna Marya Tixier, panie Courtois i Simon.

Przy styczniowych wyborach do paryzkiej rady miejskiej, pani Leonia Rouzade występująca jako kandydatka z dzielnicy Bercy, otrzymała 57 głosów; niemniej przy ogłoszeniu sprawozdania z rezultatu wyborów glosy, dane jej, zostały wymienione wraz z innymi, gdy dotychczas glosy na korzyść kobiet uważano za nielegalne.

W Bordeaux, na kongressie hodowców wina, walczących z plagą, która grozi zniszczeniem winnicom francuzkim przez pasożyt winnego krzewu: filoxerę, dwie pierwsze nagrody „za czynność, wytrwałość i inteligencją“ okazaną w zarządzie winnego gospodarstwa zostały przyznane kobietom. Jedną wzięła hr. Fitz James; drugą właścicielka wielkich winnic w okolicach Letourne, wdowa, sama stojąca na czele gospodarstwa swego. Dziennik *National*, który podał wiadomość, nie wymienia nazwiska.

Panna Karolina Kleinhaus, która przed dwoma laty na kongressie geografii handlowej w Brukseli była reprezentantką Francji, tak się odznaczyła na zeszłorocznym kongressie geograficznym w Wenecji, że wskutek tego otrzymała stopień urzędnika oświecenia publicznego (*Officier de l'instruction publique*). Już poprzednio otrzymała była dekoracją palmy akademickiej. Panna Kleinhaus wyklada, a przynajmniej wykladała do niedawna, geografię w męzkim lyceum paryzkim Sw. Barbary.

Marya von Ackere (urodzona Doolaeghe) powieściopisarka belgijska mieszkająca w Dixmude, otrzymała krzyż orderu Leopolda, mający w Belgii znaczenie francuzkiego krzyża Legii Honorowej. Pisma tej wyższego talentu i uznania autorki odznaczają się szlachetną tendencją i wywierają zbawienny wpływ na rodzinę i kobiety. Pani von Ackere jest pierwszą przez uznanie narodu kobietą belgijską.

W Neapolu zaczął wychodzić dziennik *L'Umanitario* pod redakcją kobiety, Ernestowej Napolon. Dziennik zapowiedział w przedmowie, że będzie bronił wszelkiej sprawy dobrej, poparcia potrzebującej, będzie to przeciw głównie organ poświęcony kwestjom skrajnie pojętej emancypacji kobiet.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 7-my arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

## DZIEŁA

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH

H O F F M A N O W E J

WYDANIE NOWE POD REDAKCYĄ

Narcyzy Żmichowskiej

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I OBJAŚNIEN

w 12 tomach w formacie 8-ki

Cena całego dzieła Rs. 12.

Dla prenumeratorów Bluszczu i Tygodnika Powszechnego Rs. 8; z przesyłką Rs. 10.

**TREŚĆ.** Paulina Krakowowa, życiorys, (dokończenie), przez M. Inicką. — Na Białym Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kra-szewskiego. — Nowiny paryzkie. — Przegląd piśmienniczy, przez Stanisława Krzemińskiego. — Kartka do dziejów cywilizacji, (dokończenie), przez Dra Antoniego Rehmana. — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Февраля 1882 года.